



JACEK DEHNEL

SATURN

**CZARNE OBRAZY Z ŻYCIA MĘŻCZYŹN
Z RODZINY GOYA**

To jest darmowy fragment powieści.
Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw co wydarzy się dalej,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca

mówi Javier

Przyszedłem na świat przy ulicy Rozczarowania. Dopiero kiedy miałem osiem czy dziesięć lat, usłyszałem, ukryty w spiżarni, jak nasza kucharka opowiadała szlifierzowi noży, skąd wzięła się ta nazwa: dawno temu czterech przystojnych *majo* goniło piękną dziewczynę, biegnąc naszą ulicą, o tu, tuż pod oknami naszego domu, który wtedy jeszcze nawet nie stał, wzdłuż witryn sklepu z perfumami i złotymi wisiorami, którego wtedy jeszcze nie otwarto i w którym nie urzędował jeszcze stary don Feliciano, bo nawet jego jeszcze nie było na świecie; a biegła ta dziewczyna, oj, biegła, a gonili ją ci *majo*, oj, gonili, aż złapali; a tacy byli namiętni, że poszarпали na niej całe suknie, zdarli mantylę i szal, którym przysłaniała twarz – i wtedy stanęli jak wryci. Bo pod atlasami i adamaszkami pokazało się cuchnące ciało, oblepiona suchą skórą trupia czaszka, szczerząca żółte zęby. Rozpierzchli się na wszystkie strony, ciało w jednej chwili obróciło się w pył, razem ze wszystkimi wstążkami i falbanami, a ulicę nazywano odtąd ulicą Rozczarowania. Tak mówiła kucharka, trzymając się – widziałem to przez dziurkę od klucza w drzwiach spiżarni – pod boki, krzepka, rumiana, oświetlana snopami iskier, a szlifierz, który opowieści nie znał, bo pochodził skądś spoza Madrytu, przykładął do wirującego kamienia kolejne noże i nożyczki, potakując i pomrukując między jednym zgrzytem żelaza a drugim. Ale ojciec – jestem o tym najzupełniej przekonany, nawet jeśli tego akurat nie powiedział, jeśli tego akurat nie wypłynął z innymi obelgami, którymi mnie obrzucał – zawsze uważał, że ulica nazywa się tak, bo ja, Javier, przyszedłem na świat w domu, który stał

właśnie przy niej, w alkowie na piętrze, w mieszkaniu portrecisty i wicedyrektora Królewskiej Manufaktury Tapiserii Santa Bárbara, a wkrótce malarza królewskiego, Francisca Goi y Lucientes.

mówi Francisco

Kiedy Javier przyszedł na świat, jeszcze przy Calle de Desengaño, starsze dzieci już nie żyły; ani pierworodny, Antonio, ani Eusebio, ani mały Vincente, ani Francisco, ani Hermengilda; Marii de Pilar nie pomogło nawet imię, którym poleciliśmy ją pod opiekę Naszej Pani Saragoskiej. Nigdy nie powiedziałem tego Javierowi – bo w owym czasie starałem się nie rozpieszczać dzieci, wychować syna na prawdziwego mężczyznę, nie to, co teraz, kiedy serce mi zmiękło i zrobiła się ze mnie stara, lejąca łzy purchawa, w dodatku głucha jak pień, co bardzo pomaga w znoszeniu dziecięcych wrzasków – a zatem: nigdy nie powiedziałem tego Javierowi, ale kiedy La Pepa go urodziła i leżała w łóżku, wymęczona, z czarnymi kosmykami włosów przyklejonymi do mokrego czoła, na którym padające z okna światło kładło się wielką plamą, jak z bieli ołowiowej, poleciałem na miasto i krzyczałem do wszystkich znajomych i nieznanym, że nie ma piękniejszego widoku w Madrycie niż ten chłopak.

Po nim próbowaliśmy dalej, licząc się z tym, że i on nie zostanie z nami zbyt długo. Moja świętej pamięci małżonka, Józefa Bayeu, czyli po prostu La Pepa, jeśli się nie stroiła, leżała w łóżku – albo w połogu, albo, jeśli poroniła, z kolejnymi krwotokami, zupełnie jak królowa Maria Luiza, jedno martwe dziecko za drugim. Kiedyś nawet próbowałem to sobie policzyć, i było tego ze dwadzieścia razy. Ale, niestety, przeżył tylko Javier. Niestety tylko i niestety Javier.

II

STARZY



Obrzydliwa jest starość. Jej zapachy i faktury. Ciekące oczy, przekrwione spojówki, wytysiałe rzęsy i brwi, wiszące fałdy ciała, lizaje. Jej łapczywość w wysysaniu resztek, jej łakomstwo, rzucanie się na miskę z głośnym mlaskaniem.

Mówią, że pięknie jest zestarzeć się we dwoje. Czy piękniej robić się i parszywieć w towarzystwie niż samemu? Ze wszystkich sabatów świata najstraszliwszy jest sabat starości, na który młodzi, zamiast się zlatywać, przyczłapują z nałożonymi na gładkie twarze maskami z pomarszczonej skóry.

Oko, nie mniej słabe niż reszta ciała, widzi tylko najsilniejsze kontrasty: plamę światła na czubku nosa tuż nad ciemną kreską bezzębnych ust. Czarne, trupie cienie pod nawisami łuków brwiowych, a wokół nich jasne kręgi policzków i czoła. Błysk srebrnej łyżki nad zagłębieniem talerza, mlaskanie, wychudzone palce wychodzące z mroku szerokiego rękawa. I czarne, powiększone pożądaniem źrenice, otoczone białkami wytrzeszczonych oczu. Obeżreć się życia, zanim się skończy.

Och, z jaką odrazą patrzymy na swoich rodziców, kiedy zmieniają się w wyleniałe, niesyte bestie, popsute mechanizmy, ciekące naczynia.

Och, z jakim niezrozumieniem patrzymy na nasze dzieci, kiedy widzą w nas wyleniałe, niesyte bestie, popsute mechanizmy, ciekące naczynia. W środku jesteśmy nadal młodym chłopakiem z ambicjami, który jedzie do wielkiego miasta z jednym tylko zawiniątkiem; jesteśmy młodą, niebrzydką dziewczyną, która mówi sobie: „Och, życie, jeszcze zobaczmy, kto kogo!”

mówi Javier

Dobrze mu tam, we Francji. Wszystko mi tu powtarzają. Siedzi sobie, wdowiec z dala od grobu żony, zadowolony, stary lis, spasiony borsuk, posiwiały głuszec, maluje jakieś błahostki, fidrygałki, jakieś miniaturki na kości słoniowej, jakieś rysuneczki; Leocadia robi mu jedzenie, troszczy się, kroi jabłka na ćwiartki, osobiście, bo od służącej to mu nie smakuje, a potem oddaje się, komu popadnie – okazji w Bordeaux nie brakuje, ostatnio podobno jest z jakimś Niemcem, który nie wie nawet, że ona nie taka *weiss*, na jaką wygląda. Rosario, przepraszam, Biedroneczka, nie mówi na nią inaczej niż „Biedroneczka”, siedzi koło niego i „razem tworzą”. On jednym ruchem coś rysuje, niekoniecznie zresztą obrazki odpowiednie dla dziewczynki w jej wieku, nawet jeżeli jest córką ladacznicy i niejedno widziała, a ona, koślawo, próbuje to powtórzyć. Krzywą linią tam, gdzie powinno być prosto, prostą tam, gdzie powinno być krzywo, a przede wszystkim nudną linią. Nudną, jednostajną, bez wdzięku. Potem stary bierze kolejną kartkę i – po prostu to widzę, widzę to – mrucząc coś niezrozumiale do siebie, tak jak zawsze mruczał, a jeżeli nie zawsze, to przynajmniej odkąd ogłuchł, jednym gestem z kartki papieru robi banknot: czarownicę lecącą na skakance, starego rogacza z młodą żonką (że też nie przychodzi mu do głowy, że portretuje samego siebie), skazańca duszonnego garotą, słowem: idealny rysunek, na który od razu miałbym kilku kupców. I podaje temu bachorowi. A ona, mrugając oczami, kokosząc się przy nim na krześle, uśmiechając raz po raz, wysuwa mały język jaszczurki, odziedziczony z pewnością po matce, i „uzupełnia cienie”, czyli tą swoją tępą kreską pokrywa fałdy

sukni, kawałki tła, czupryny. A stary mówi „jaśniej”, „ciemniej”, „jaśniej”. I tak pracując ochoczo i w pełnym porozumieniu, zamieniają banknot w gryzmoły, z których można co najwyżej robić tutki na tytoń.

mówi Francisco

Dobrze mi tu, we Francji, choć źle mi tu, w starości. Kiedy słońce jest mocne – choć nie tak mocne jak w Madrycie – widzę lepiej, i wtedy zabieram się do malowania. Nie mam już sił na duże płótna, zresztą nawet chodzę ledwo-ledwo, jest tu taki młody, który uciekł z Hiszpanii, de Brugada; spędza z nami sporo czasu i wyprowadza mnie na spacer, nauczył się nawet ze mną rozmawiać – nie tak jak wcześniej, pisząc na karteluskach, które trudno mi odczytać, ale dłońmi, wedle systemu księdza Boneta. Przedwczoraj go za to zrugalem, bo wymachuje łapami, jakby chciał wszystkim dookoła pokazać, że stary Goya nie tylko ledwo giczołami powłóczy, ale i jest głuchy, głuchy, głuchy jak pień, jak kamień, jak pędzel, jak klamka, jak kłęb starych szmat poruszany czarną magią. Cuchnę chyba szczynami, bo mam chory pęcherz, ale sam tego nie czuję, już nie ten nos, co potrafił przez okno wywachać soczystą cipkę idącą ulicą... widzę tylko, jak inni się krzywią, kiedy podchodzę za blisko, a że nie chcą mi zrobić przykrości, to ukrywają te grymasy, co jest jeszcze bardziej upokarzające. Noszę trzy pary okularów. Trzy pary okularów na jedynym nochalu. Nie takim znowu największym. Wzrok mnie zawodzi, ręka też. Wszystkiego mi brak – oprócz woli.

Przez jakiś czas zajmowałem się litografiami, rysowałem z pamięci byki... Brugada mi pomagał, stawiał kamień na sztalugach, mocował, a ja tam już sobie gryzmoliłem, skrobałem brzytwą, w drugiej ręce trzymając wielką lupe, bo bez niej niczego prawie nie widziałem – ale ze dwa razy kamień zerwał się ze

sztalug, raz prawie zmiażdżył mi stopę, aż zarysował krawędzią czubek trzewika, za drugim razem łupnął o ziemię, kiedy mała Rosario stała ze trzy kroki dalej. Oczywiście cała praca na nic. A za tym drugim razem miałem piękną scenę, prawie skończoną. Dałem sobie z tym spokój. Na duże płótna tym bardziej nie mam siły, a moja Biedroneczka dorosła już do malowania i myślę posłać ją na nauki do Paryża, puściłem nawet parę listów, może Ferrer by ją umieścił u Martina, podobno jest niezły. Nie będzie na to szkoda pieniędzy. Bo i jest kogo kształcić, nie to, co ta dupa Javier, który do niczego się nie potrafi zabrać, leży tylko jak larwa, jak kawał tłustego mięsa w brytfannie, w zakrzepłych sokach, nie chce mu się do mnie przyjechać, nie chce mu się przenieść przez Pireneje tego spasionego tyłka, a ja, staruch, muszę jeździć w tę i z powrotem jak młody szczygiełek, bo inaczej nie zobaczę mojego ślicznego Marianito. Zupełnie jakby nie mogli zostawić na chwilę interesów, zresztą, jakie oni tam mają interesy, i przyjechać do stojącego nad grobem ojca. Ale jest Biedroneczka i na Biedroneczkę nie szkoda czasu, pokazałem nawet jej rysunki w Madrycie, wszyscy profesorowie Akademii byli zachwyceni i mówili, że to jak mały Rafael w spódnicy, jak mały Mengs w atlasach. Mengs przy niej to pętał. Świat nie widział drugiego takiego talentu. Siadamy więc razem, coś tam jej rysuję na świstku, a ona kopiuje uważnie, a ile jest w tym pracowitości, ile biegłości, jaka kreska śliczna! Niewyrobiona jeszcze, to prawda, ale czuć geniusz. Goya ten geniusz czuje. Ona sobie rysuje, Leocadia krząta się po domu albo wychodzi na miasto, w końcu kobieta musi mieć coś od życia, jesteśmy we Francji, nie w Hiszpanii, przecież nie będę jej trzymał w domu pod kluczem. Ona sobie rysuje, ja wyciągam z szuflady płateczki kości słoniowej, farby, cienkie pędzelki, i, patrząc przez szkło powiększające, najpierw kładę ciemny podkład z kopcia zdjętego z lampy, a potem kapię kilka kropki wody. Jakie tam światy, ile tam się kłębi postaci, duchów, pożądań – kaleki, więźniowie, brzuchate karły, stare wiedźmy; patrzę przez moją lupę i nadziwić się nie mogę, ile się może wydarzyć na takiej małej płytce,

kiedy woda rozpuszcza sadzę. A potem, rach-ciach, zabieram się do malowania. Jak nie wyjdzie, a coraz częściej nie wychodzi, zdrapuję bez żalu, bo wiem, że woda rozpuszcza czern w pełnej zgodzie z nurtem moich myśli i zaraz przywoła jeszcze coś lepszego. Coś boleśniejszego.

Z Javierem też tak siadywałem jak z Biedroneczką – myślałem sobie, że jeżeli mój tatuńcio, zwykły pozłotnik, spłodził takiego malarza jak ja, to czego mój syn dokona! Tak myślałem o nich wszystkich po kolei: o Antoniu, Eusebiu, Vincentem i Franciscu, a oni wszyscy umierali, mało który wyżył dość długo, żeby móc utrzymać w rękę ołówek, a co dopiero, żeby zadziwić świat swoim talentem; nawet z Javierem tyle razy było o krok, o odrobinę – jak wtedy kiedy miał ospę i całą noc nosiłem go na rękach, zamiast co namalować albo wyzamiatać jakąś dziewczuchę, a on, rozpalony, zmęczony płaczem, zasypiał na chwilę i zaraz znowu się budził; kiedy powiedziałem o tym królowi, był tak wzruszony, że chwycił mnie za rękę i długo nią potrząsał, a potem zaczął grać na skrzypkach, co miało chyba świadczyć, że stary piernik mi współczuł. A że nie miał, jak w czasie występów przed dworem, drugiego skrzypka za kurtyną do odegrania trudnych pasaży, a ja nie byłem jeszcze głuchy, to lekko nie miałem... Cóż, każdy współczuje taką sztuką, na jaką go stać – ja współczuję moimi arcydziełami całej żywej, krwawiącej Hiszpanii, on współczuł choremu dziecku i jego ojcu rzepoleniem na skrzypkach. Dobrze i to. Ale przecież nie tylko wtedy; całe dzieciństwo Javiera starałem się nie przyzwyczajać do niego; bałem się, że odejdzie jak poprzedni albo jak ci, których Pepa roniła później: krwawe strzępki, brud na prześcierałach, potworności, których wolałbym, jak tylu innych, nie mieć przed oczami, a widzę je nieustannie – kiedy zamykam oczy, we śnie, na jawie, kiedy patrzę na kroplę wody rozpuszczającą czern na płytce kości słoniowej, widzę nie tylko trupy rozstrzelanych pod murem, nie tylko zakonnice gwałcone przez francuskich żołdaków, ale i te paskudztwa, które z niej wychodziły: karły,

homunkulusy, które dałoby się zmieścić w dłoni; jeden z przerosniętą głową, drugi w ogóle bez nóg, ohyda, ohyda.

Ale jeden się uchwalał, i to z nim siadywaliśmy jak teraz z Rosario – ech, najpiękniejsze chwile, kiedy widziałem, jak stawał się wierną kopią swego własnego ojca, ba, jego, czyli moim, arcydziełem; jak wyjmował z kasety pędzle, szpachle, rozmaite druty i drapaki, jak przyglądał się różnym pigmentom i pytał, z czego się je robi... a jednak nie było w nim geniuszu; czułem to niemal od początku, ale oszukiwałem się, że coś z niego jeszcze wyrośnie; gdzie tam. Do gadania, paplania o pigmentach, o farbach to był pierwszy – ale kiedy miał się zabrać do płótna, do kartki, taki był grymaśny, nieśmiały, a że się wstydzi, a że nie umie, a to, a tamto; aż zdawało mi się czasem, że robi to specjalnie, na złość, to zrugłem go kilka razy, huknąłem porządnie, jak na chłopaka, to się potem porobiło gorzej nawet. Nie chciał ze mną malować, nie chciał przychodzić do pracowni, coraz bardziej był gnuśny i mrukliwy. Nie wiem, skąd mu się to wzięło, z pewnością nie po mnie. Wychodzi, że po matce. A ona, rzeczywiście, mrukliwa, choć pracowita kobieta. Niewiele wiedziała, to i niewiele mówiła, tak lepiej. Tylko się stroić lubiła. Ale czy nie wszystkie one to lubią?

mówi Javier

Nie żeby i mnie nie pozwalał siadać tak koło siebie. Pozwalał. Jeśli tylko, oczywiście, był w Madrycie, jeśli tylko był w dobrym nastroju i miał dla mnie choćby odrobinę uwagi; bo bywało przecież, że malował całymi dniami, jak wściekły, mamrocąc pod nosem jakieś wielopiętrowe obelgi, a potem jeszcze długo w nocy, w cylindrze, do którego przymocowywał kilka świec, i to zawsze tych w najlepszym gatunku, dających najmocniejsze i możliwie białe światło; jeśli takich brakowało, robił awanturę, budził matkę i służbę i posyłał kogoś do sklepu,

żeby walił w drzwi tak długo, aż właściciel wstanie, otworzy i sprzeda świecę w najlepszym gatunku dla pana de Goya, znanego furiata. No i wyjeżdżał – dostawał jakieś zamówienie tu czy tam, malował ministra w jego majątku albo hrabinę w jej pałacu, albo wielkie płótno do jakiegoś kościoła, który musiał oczywiście zobaczyć na własne oczy, żeby wiedzieć, skąd pada światło, jakim odcieniem mieni się w słońcu kamień, z którego wymurowano ściany, z jakiej odległości i pod jakim kątem będzie się patrzyło, a zatem jakim skrótem się posłużyć. Znikał na całe tygodnie, wszystko jedno, do pracy czy na polowania ze swoim przyjacielem ze szkoły, Zapaterem... Matkę tylko informował; zresztą nawet gdyby wiedziała, co mówił czasem o sobie i o Albie, gdyby nawet powiedział jej: jadę do księżnej i zamierzam dobrze się bawić, spuściłaby tylko oczy, bo tylko to umiała. No i podłożyć mu się, jeśli przyszedł czas na kolejną ciążę, na kolejne poronienie.

Ale kiedy miałem dziewięć lat, pojechał na długo – nie żeby mu się to nie zdarzało, tym jednak razem zniknął na dłużej, niż zapowiedział; przychodziły listy z Kadyksu, ale pisane cudzą ręką – już wtedy rozpoznawałem jego pochyłe, koślawe nieco pismo z długimi wąsami s i y – matka całymi dniami siedziała w swoim pokoju albo w nagłym napadzie przylatywała do mnie i zaczynała mnie ścisnąć i całować, gwałtownie, przesadnie, tak że chciałem się jak najszybciej wyrwać z tych krochmalonych mankietów i sztywnych koronek; jeśli w tej szamotaninie zdarzało mi się na nią zerknąć, widziałem, że oczy miała całe zapuchnięte od płaczu, obwiedzione cienką czerwoną kreską, przekrwione, tak że białka były zupełnie różowe; jej rysy zgrubiały od rozpacz, tak jak zdarzało się to niekiedy w czasie ciąży; wyglądała żałośnie, więc jeśli tylko na nią spojrzałem, nie miałem serca wyrwać się dalej i zastygłem jak złapany w siatkę wróbel, kiedy się go weźmie do ręki, i czekałem, aż zaspokoi swoją potrzebę namolnego tulenia. Na ogół jednak udawało mi się uniknąć widoku jej twarzy, wierciłem się na prawo i lewo jak

dziki, żeby tylko nie musieć na nią patrzeć – wtedy mogłem się wyrwać i uciekałem do kuchni albo na patio.

Wrócił potwornie zabiedzony, właściwie wnieśli go do domu, wspartego na ich ramionach, woźnica i służący – był sinawy, zielonkawy, jakby ulepiony z brudnego wosku, potwornie wychudzony, z głową obwiązaną białą chustą; ale najdziwniejsze było niemal zupełne milczenie, które temu towarzyszyło. Żadnych radosnych okrzyków, żadnych powitań, żadnego wydawania poleceń; jeśli matka musiała już coś powiedzieć, mówiła to szeptem, jakby bała się naruszyć podniosłą ciszę. Każdy szelest sukni, każde stuknięcie obcasa wydawało się zbyt głośne.

Dopiero wieczorem, kiedy służąca położyła mnie do łóżka, powiedziała mi: „Biedactwo, teraz masz zupełnie głuchego tatusia”.

Leżał potem w łóżku jeszcze przez parę miesięcy – twarz mu się zaokrągliła, zaczął rysować w kajecie, zrobił się marudny, jak to zdrowiejący mężczyzna. Cały czas o coś wołał albo wściekał się, że nie może malować; a ponieważ ogłuchł, był strasznie hałaśliwy; jego potężny głos słyszać było w całym domu, od sklepu don Feliciano na parterze, gdzie szklane flakoniki z perfumami drżały od niego i cichutko brzęczały, aż po strych, gdzie wprawiał w ruch schnące prześcieradła. „Javieeeeeer – wrzeszczał – Javieeeeeer, chodź do paaaapy!”, a ja uciekałem, gdzie się dało, tak jak wcześniej uciekałem z zaborczych uścisków matki.

Kalectwo to obcość. Człowiek, który stracił rękę, to wcale nie ten sam człowiek co przedtem, tylko że bez ręki. To człowiek, który w miejscu ręki ma brak ręki, zupełnie nowy narząd, na który nie wolno patrzeć, o którym nie należy wspominać. Żeby nie sprawiać przykrości. Bo tak jak w ciele w miejsce ręki wyrósł brak ręki, tak i w duszy w miejsce czegoś wyrósł brak czegoś, organ bolesny, jęczący, tkliwy. A ci, którzy tracą jakiś zmysł, tracą nieporównanie więcej – cały świat dostępny tylko za pośrednictwem tego zmysłu; ba, więcej jeszcze. Nie tylko melodię zarzuela, nie tylko sposób, w jaki La Tirana wypowiadała ze sceny słowa, z tym gilgocącym w ucho gulgotaniem,

gruchaniem, ale szum szeptów niosący się po sali, okrzyki dobiegające z dalszych rzędów, brawa, ta wspólna fala dźwięków, którą wszyscy, zespoleni, dziękowali jej za dźwięki, które posyłała zza rampy, jak dwa przeciwległe morza – setki gardeł widzów przeciwko jej jednemu, nie zrównanemu gardłu. A *sainetes*, przy których się kiedyś zaśmiewał, wszystkie te scenki z cwany-mi pomarańczarkami i walecznymi *majos*, z przemądrzałymi doktorami i sprytnymi ulicznikami, którzy zawsze postawią na swoim – och, uczył się na pamięć piosenek i śpiewał je potem przy pracy, nawet po latach, kiedy nie słyszał sam siebie i potwornie fałszował; wszystko to utracił. Nie było też więcej szykowania się do wyjścia, wbijania się w szamerowane kurtki i obszywane złotem spodnie, z których taki był dumny (choć dawno już nie miał talii torera, o czym matka nigdy nie omieszkła wspomnieć pod nosem)... A nuty, które wysyłał swojemu ulubionemu Zapaterowi, nuty *sainetes* i *seguidillas*, ile miał z tym zachodu, biegania po straganach, żeby zdobyć najnowsze przeboje! Pakował to wszystko i nadawał pocztą konną do Saragossy, a wracając, mówił: „To moje ostateczne pożegnanie z muzyką, niech Martín się tym cieszy, od dziś przestaję chodzić do miejsc, gdzie mógłbym te piosenki usłyszeć... powiedziałem sobie, że muszę się, psiamać, trzymać jakieś zasady i zachować pewną, psiamać, godność, właściwą mężczyznom!” – i tak mamrotał pod nosem całą drogę, do samego domu, a wieczorem i tak wychodził, ubrany w jedną ze swoich haftowanych kurtek *majo*, i zaśmiewał się do łez z innymi, podobnymi sobie. Odkąd stracił słuch, już nigdy nie włożył kurtki *majo*, nawet dla żartu, jakby były to ubrania zmarłego.

mówi Francisco

Są sprawy, o których nie sposób mówić. Można o nich tylko malować. A po prawdzie, nawet i to nie.

Z łóżka zatem zwlókł się do sztalug obcy człowiek. Przede wszystkim obcy nam – bo nie dobiegały do niego żadne słowa; siedział w swojej pracowni jak ryba w akwarium, brunatnym, ciemnym, pokrytym dziwnymi glonami: zwojami płótna, szkieletami blejtramów, zeszkrobaną farbą, i pracował bez wytchnienia, często nocami, przez co zużywał jeszcze więcej świec niż kiedyś, a ubrania i cała podłoga pracowni usiane były kroplami i perlistymi smugami wosku; brał wszystkie zamówienia, byleby udowodnić, że wciąż umie malować, zaczął chodzić na zebrania Akademii, żeby przeciąć wszystkie plotki, że „Goya się skończył”, które rozsiewali złośliwi pacykarze, i siedział na tych zebraniach, nic nie rozumiejąc, ale robiąc – tak to sobie wyobrażam – mądrą minę, jakby słyszał każdziuteńkie słowo i rozważał je głęboko; malował straszliwe obrazki na blasze – pożar, rozbitków na gołej skale, rozbójników zarzynających podróżnych, więzienie, szaleńców kłębiących się na korytarzach szpitala; do dziś mam w pamięci całe sceny: wykrzywione strachem twarze, powykręcane dłonie, rozpaczliwe gesty; podkładałem się tak blisko, jak się dało, i patrzyłem z ukrycia, zza jakiegoś płótna albo krzesła, jak posapując, pomrukując, odchodząc od obrazu i znów do niego podbiegając, nakłada na płótno tłustą, oleistą czerń kajdanów, bryzgi białej piany oblewające trupa, brunatnoczerwone, suche plamy – krew wsiąkającą w piasek pod kołami dyliżansu. Jeśli się zorientował, że stoję obok – dostrzegając mnie kątem oka, uczuwszy łaskotanie mojego oddechu na grzbiecie opuszczonej ku ziemi lewej dłoni albo po prostu odbierając wrażenie czyjejś obecności, kondensacji uwagi, tak jak zdarza się to czasem każdemu z nas, odwracał się gwałtownie i przepędzał mnie za drzwi; czasami nosiło to znamiona zabawy: pohukiwał, groźnie szczeakał i warczał, łaskotał mnie pod pachami; z reguły jednak był naprawdę zły, zwłaszcza kiedy malował scenę z domu dla obłąkanych – od razu zakrywał ją płótnem

i łapał za jakąś listewkę albo szmatę, żeby mnie wyrzucić z pracowni. Wysłał ją potem z listem Zapaterowi, nie wiem, co z nią zrobili jego spadkobiercy, a sobie namalował drugą, taką samą, parę lat później. Tak czy owak, nie umiałem się z nim porozumieć. On nie umiał jeszcze czytać z ruchu warg, ja prawie nie umiałem pisać; niecierpliwił się, kiedy powoli, mozolnie stawiałem kolejne litery, i próbował zgadywać słowa; jeśli mu się udało, czekał na następne, następne próbował zgadnąć, ale przy którymś z rzędu zapominał, jakie było pierwsze, i wściekał się jeszcze bardziej. Wtedy zrozumiałem, po co mamy duży dom. Duże domy są po to, żeby się unikać. A jeśli ktoś jest głuchy, jeszcze łatwiej się przed nim schować; można przebiec tuż za jego plecami z pokoju do pokoju – byle lekko, żeby nie poczuł stopami drżenia podłogi; ale kiedy ma się dziesięć lat, można biegać lekko, lekuteńko. Nauczyłem się prędko i wyraźnie pisać, żeby nasze rozmowy trwały jak najkrócej, a z tym jakoś przyszła ochota do czytania – ojciec nie przepadał za książkami, matka miała tylko książeczkę do nabożeństwa, ale w szkole u księży, poza potwornie nudnymi spisami modlitw, było trochę ciekawych książek z dawnych, lepszych czasów. Kiedy podrosłem i miałem w sobie więcej śmiałości, zdarzało mi się pytać niektórych ze znajomych ojca o książki, które szczególnie cenią – i jeśli nie znalazłem ich w bibliotece pijarów, przy następnej wizycie dopraszałem się, aby je pożyczyli; nie wolno było mi oczywiście nagabywać gości w salonie, ale mogłem stanąć przed nimi (wyprężony, ze spoconymi dłońmi) w sieni, kiedy wchodzili lub wychodzili z domu; często obrywałem po głowie od służącej albo od rodziców, ale zdarzało się, że dostawałem potem do ręki upragnioną książkę i w te pędy leciałem do pokoju, żeby ją zacząć czytać. Pan Martinez, który pewnego razu przyjechał na dłużej w interesach z Kadyksu i bywał u nas dość często, przekonywał ojca, żeby wysłał mnie do zagranicznych szkół, ale ojciec powiedział krótko: „Javier to malarz. Urodzony malarz. Ma to po mnie. Wszelka nauka poza nauką malowania to dla niego strata

czasu. Nie mówiąc już o pieniądzach. Książki zresztą to samo, psiamać. Strata. Tyle dobrego światła marnuje”.

Ale ponad wszystko ojciec, głuchnąc, stał się obcy sobie samemu, dawnemu sobie; zmienił nawyki, ton głosu, sposób pracy; denerwował się o byle co. To prawda, zawsze był furiatem, ale teraz przypominał złapanego w potrzask wilka, który pokąsa każdego, kto się nawinie, choć z każdym wyskokiem i kłapięciem zębami wnyki głębiej jeszcze wbiją się w mięso i kość jego łapy.

Nie wierzysz że to już koniec? Masz rację!
To był darmowy fragment powieści, jeśli chcesz
dowiedzieć się jak to się naprawdę kończy
(oraz dać się zaskoczyć kilka razy po drodze),
zapraszamy do nas:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca